

Joanna Chmielewska

Krętka Blada

KLIN

Joanna Chmielewska

Krętka Blada

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz*
Korekta: *Małgorzata Kot*
Projekt okładki: *Sophie Kuhn*
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

Copyright by
WYDAWNICTWO KLIN, Warszawa 2010

ISBN 978-83-62136-02-5

Wydanie 1
WYDAWNICTWO Klin
Warszawa, ul. Bruzdowa 117H
tel. +48 501 686 786
fax 022 885 19 53
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Czarne BMW nie zwolniło na widok lizaka i robiło takie wrażenie, jakby w ogóle nie zamierzało się zatrzymać. Sytuacja na szosie jednakże wytworzyła się korzystna dla drogówki. Mały fiat, jadący za ciężarówką, zdecydował się ją wyprzedzić i zjechał na lewy pas, blokując drogę, a sama ciężarówka też zamrugała lewym światłem. BMW musiało gwałtownie zwolnić, zarzuciło, zjechało na pobocze i zatrzymało się, gniotąc prawy przedni błotnik na słupku drogowym.

Gliny w dziesięć sekund znalazły się obok.

Kierowca odmówił dmuchania w balonik, ale atmosfera w wozie wskazywała na nadużycie. Wszyscy byli grzeczni dla siebie wzajemnie wręcz do obrzydliwości. Dokumentem, jaki przeszedł z rąk do rąk, okazała się karta rejestracyjna w okładkach, z których delikatnie wystawały dwa banknoty po sto dolarów sztuka. Sierżant przy okienku samochodu, załatwiający sprawę poniekąd w cztery oczy, wziął.

Towarzyszący mu młody kapral, nieświadom transakcji, zdumiał się, widząc, iż BMW odrywa się od słupka i odjeżdża.

– Dlaczego? – spytał z oburzeniem. – Na bani był, szybkość przekroczył o czterdzieści, próba ucieczki...

– Zamknij dziób – poprosił sierżant łagodnie, wracając do samochodu.

Wsiedli obaj, kapral zaniemiały z oburzenia, kierowca popatrzył z zainteresowaniem, sierżant westchnął i pokazał banknoty.

– Trzeba wymienić, bo inaczej na trzy nie podzielimy. Po służbie, w cywilu.

– No wiesz...! – zatchnął się kapral ze zgorzeniem.

– Nie kłap mi tu paszczką. Lepiej pogłówkuj. Jak on nam daje tyle, to ile da wyżej? Myślisz, że mu coś zrobią? A z jakiej racji prokurator ma brać, a my nie?

– Zabije kogo...!

– Może nie zdąży. Spojrzałem na adres, tu blisko jedzie, do Kołakowa, to zaraz za Radzyminem.

– Ale błotnik klepał będzie za darmo – zauważył kierowca filozoficznie. – Na auto-casco. Wyrówna mu się.

– I tak by klepał za darmo, a co nasze, to nasze.

– Ale jednak... – wymamrotał kapral z uporem.

– Ty, Bubel, za co ty właściwie z nami jeździsz? – zainteresował się nagle kierowca. – Miałem od razu zapytać, ale zapomniałem. O co biega?

– Za karę – mruknął z goryczą kapral.

– Fakt – przyświadczył sierżant pobłażliwie. – Przenieśli go, bo młody i głupi. Nie tych doprowadził co trzeba, a potem się jeszcze mądrzył, więc mu przyłożyli brutalne traktowanie. I co, degradacja, a już miał, sirota, gwiazdki.

– Cholera. Z nami, znaczy, ma nabrać rozumu?

– Na to patrzy. Może mu się nawet opłaci.

Kapral milczał ponuro. Upór w nim kamieniał, ale rozumu nabierał dostatecznie szybko, żeby prze-

stać gadać. Była to dopiero jego trzecia służba na szosie, dwie poprzednie nie dostarczyły tak upojnych wrażeń.

– No dobra, do roboty! – zarządził sierżant i wysiadł.

Następne doświadczenie chwilowego kaprała okazało się jeszcze gorsze.

Patrowali tę samą trasę o świcie tak wczesnym, że ruch na szosie dopiero się zaczynał. Zaczaili się zaraz za Strugą, terenem, bądź co bądź, niezły zabudowanym. Radar pokazał co trzeba, dwa samochody leciały, nie zwalnając, i kapral wyszedł z lizakiem, narażając się na przejechanie. Nie został jednakże przejechany, chociaż niewiele brakowało, pierwszy samochód zatrzymał się, tuż za nim zatrzymał się i drugi, chociaż mógł przelecieć. Z tego drugiego wysiadło dwóch panów, w pierwszym jechało także dwóch, mieli zatem przewagę liczebną. Pokazywania dokumentów odmówili stanowczo, dokonali za to prezentacji broni palnej, zaopatrzonej w tłumiki.

Kierowca pierwszego wozu też zdążył wysiąść. W jednej ręce trzymał spluwę, a w drugiej plik banknotów.

– Żonę i dzieci pewnie masz – rzekł do sierżanta miłym głosem. – I numer widzę napierśny. A strilać tobie nie wolno. I wybór masz.

– A pisz sobie, pisz – powiedział równocześnie jego pasażer do kaprała, z zaciętością notującego numery rejestracyjne.

Sierżant nie odezwał się ani słowem. Wyjął z ręki kierowcy plik banknotów, odwrócił się do niego tyłem i ruszył do radiowozu. Kierowca radiowozu odetchnął nieznacznie, bo przestało go coś uciskać za uchem.

– Rąbnęliby nas, jak w mordę strzelił – powiedział zdławionym nieco głosem, kiedy koledzy znaleźli się obok niego. – Tak patrzyłem, czy się czasem nie wygłupisz.

– Mercedes i volkswagen – odparł starszy sierżant z goryczą. – Kradzione, do Ruskich lecą, pewno z Niemiec. Zawiadomimy tych tam dalej, ale wątpię, czy ich tkną. Przejadą, chyba że na granicy ich dorwą.

– Żonę i dzieci to ma prawie każdy...

– Ja nie – oznajmił kapral ze złością.

– Masz mamusię. Pewno się zmartwi, jakby co.

Kapral wzruszył ramionami, zgrzytnął zębami i prychnął. Kierowca odzyskał już równowagę.

– Ruska mafia – zaopiniował. – A już ich trochę przerzedzili i proszę! Jeszcze się snują.

– Teraz jakoś mniej hurtowo – stwierdził sierżant. – I jakby mniej jawnie, za to idą na ostre. Ci chyba z tych, co mają duże plecy, póki żywi, wyjdą ze wszystkiego.

– Ile dali?

Sierżant spojrział na plik banknotów, wciąż trzymany w ręce. Przeliczył je i rozdzielił od razu.

– Nieźle – pochwalił z przekąsem kierowca. – Premia za nawalankę. Mają psychologiczne podejście, to im trzeba przyznać, ale, jak Boga kocham, wołałbym chyba zostać uczciwym człowiekiem.

– Też bym wołał, ale jeszcze więcej wolę być żywy. Schowaj to, gówniarzu, może ci się kiedyś do czego przyda. Takie życie teraz mamy, nie ty kodeks pisałeś i nie ty robiłeś za partyjną wesz. Ich dzieci rządzą, parszywa skurwysynów niedola...

Zgromiony, a zarazem pocieszony wzniosłymi słowy, kapral zacisnął szczęki i schował pieniądze. Bunt w nim narastał.

Samochody, przejeżdżające z rosnącą częstotliwością, trzymały się przepisów pazurami i zębami, przez chwilę zatem nie było co robić. Wszyscy trzej wiedzieli doskonale, że kierowcy z drugiej strony ostrzegają nadjeżdżających światłami, będzie zatem trochę spokoju.

– Ty, Bubel, dlaczego właściwie nazywają cię Bubel?
– z zaciekawieniem spytał kierowca. – Wcale mi na bubla nie wyglądasz. W czym dzieło?

– A, cholera – odparł z zakłopotaniem kapral i jakby nieco zmiękł w sobie. – To moja matka...

– Jak masz na imię naprawdę? Bo od początku słyszę Bubel i Bubel.

– Robert.

– Jego matka u nas pracowała w księgowości – wtrącił się sierżant. – A on do niej czasem przychodził. Różnie do niego mówiła, ale przeważnie Bubel, z Bobka tak jej wyszło, z Bobusia, z Bubka, Bubel się najdłużej utrzymał. Wszyscy ją lubili, dzieciaka też, no i tak jakoś po niej powtarzali. Jak przyszedł po szkole, ktoś tam od razu krzyknął: „Cześć, Bubel!” i już mu zostało. Może to i lepiej, podkomisarza Bubla mogli sobie szukać...

– A szukali?

– A jak? Może i przez to szukanie do nas przeszedł. Lepiej było cicho przyschnąć...

– Żeby policja miała się ukrywać przed bandziorami, to już szczyt wszystkiego! – westchnął smętnie kierowca.

Obecny kapral Robert Górski, nieoficjalnie Bubel, miał dwadzieścia cztery lata, za sobą zaś maturę, szkołę policyjną, prawie dwa lata służby, tyleż samo zaocznych studiów prawniczych i szarżę podporucznika. W czasie owych lat służby pracował w wydziale przestępstw go-

spodarczych, a degradację zyskał za upór w kwestii przyskrzynienia szajki oszustów na wysokim szczeblu. Z niewiadomych powodów nie spodobały mu się machloje bankowe, polegające na udzielaniu pożyczek osobom wysoce niepewnym, bez żadnego zabezpieczenia. Długów osoby nie płaciły i nie było sposobu niczego z nich ściągnąć, aczkolwiek jawnie pławiły się w dobrobycie. Podkomisarz Górski się zaciął, dowody przestępstwa zgromadził, sprawców czynu podał prokuraturze na półmisku i jeszcze zrobił awanturę, kiedy po godzinie miłej pogawędki z prokuratorem wyszli krokiem swobodnym i z przyjemnym uśmiechem na ustach, bez żadnych dalszych konsekwencji. Okazał się tak potwornie kłopotliwy, że należało się go pozbyć chociaż na trochę. Szaleniec zwyczajny, którego życie może nieco utemperuje.

W głębi duszy trwał przy swoim, tyle że teraz postanowił zachować ostrożność. Nie był debilem. Od początku zdawał sobie sprawę z rozwoju przestępczości osobliwego gatunku, szalejącej w kraju, ale nie spodziewał się aż takich jej rozmiarów i na chwilę stracił rozum. Pasje wzięły górę. Zaćma z oczu spadła mu całkowicie, kiedy znalazł się na szosie z lizakiem w ręku.

Ruska mafia samochodowa dogodziła mu ostatecznie, przełamał się w sobie i zaczął myśleć intensywniej.

„Gwałt niech się gwałtem odciska” – tkwiło mu w głowie, bo Mickiewicza w szkole przerabiał. „Gwałt niech się gwałtem odciska” śniło mu się i skakało po ścianach. „Terror indywidualny nie daje pożądanых rezultatów” – to było drugie twierdzenie, z którym nie zgadzał się od początku, bo historii też się uczył porządnie. Wolał ten gwałt i wierzył w wieszczą.

Kolega z tej samej ławki, a nawet więcej niż kolega, przyjaciel, niejaki Duduś, poszedł po maturze na historię i prezentował podobne poglądy. Nie zerwali kontaktów. Obaj razem, dość rzadko, ale wytrwale, toczyli ze sobą zawzięte dyskusje, dusząc w kołysce niektóre postaci historyczne, mężów stanu, wodzów, królów, nie cofając się nawet przed dostojnikami kościelnymi.

Najbardziej kłócili się o Marię Antoninę, Duduś bowiem twierdził, że i bez niej Rewolucja Francuska też by wybuchła, a Bubel upierał się, że nie. Duduś przez te dyskusje zyskiwał wszechstronność w zawodzie wyuczonym, Bubel zaś coraz bardziej utwierdzał się w mniemaniu, iż historię tworzą jednostki.

Mafia pruszkowska rozłożyła mu się w oczach przez zwyczajne usunięcie dwóch osób. I cześć, koniec pieśni, z miejsca wyszła na prowadzenie mafia wołomińska. Nie zajmował się nią chwilowo, marzył tylko, żeby mu któryś bodaj przekroczył szybkość na szosie. Tu już był gotów na wszystko.

Ówże zganiony przez któregoś mędrca terror indywidualny kusił go nieodparcie. Gwałt, bandzior strzela, czemuż, do diabła, nie ustrzelić bandziora? Jako sługa prawa, musiał się trzymać obowiązujących przepisów i bardzo dokładnie wiedział, czego mu nie wolno. Nie mniej dokładnie jednakże orientował się, jak obchodzić przepisy, które głównie temu służą. Dla niektórych tylko po to istnieją, żeby je obchodzić...

W marzeniach na jawie widział ugadanego prokuratora, kawalera bezdzietnego, najlepiej sierotę z domu dziecka, żeby już żadna mamusia nie bruździła, który to prokurator przestępców by zatrzymywał, a nie puszczał wolno, no, może jeden to mało, kilku takich... Dalej

miał ugadanego zwierzchnika, a może nawet... czy to nie przesada...? prokuratora w Generalnej, który miałby sitwę z ministrem sprawiedliwości... bo premier to chyba za wiele...? Paru posłów by się przydało... Jeszcze dalej mieć ugadanego sędziego, z zapleczem w Sądzie Najwyższym... Mało, potrzebny byłby do tego ktoś z NIK-u, na wysokim szczeblu... No, oczywiście, komendant główny by się przydał, albo chociaż zastępca, a gdyby tak i komendant UOP-u... No dobrze, bodaj też zastępca...

Istniejąca klika nadziałaby się na dokładnie taką samą klikę i kto wie, czy nie udałoby się w ten sposób osiągnąć rzetelnej praworządności...? Rzecz jasna, klika istniejąca i już ugruntowana postarałaby się o szybki odstrzał przeciwnika, tu katastrofa, tam zawał, gdzie indziej może jakiś pożar, przypadkowy napad złooczyńców, tajemnicze zniknięcie, tu córka, tam synek...

Zaraz, ale mafiozi i oszuści też chyba mają dzieci...?

Na tym dowcip polega. Ten kretyński przywoity człowiek dziecka się nie uczepli, żony parszywcowi nie rąbnie, najwyżej zgwałci, ale to na dwoje babka wróżyła, żonie się może spodobać... Zza węgła strzelać nie będzie. A dlaczego? Tamten może, niby czemu my nie? Owszem, powinno się strzelać zza węgła, proszę bardzo, niech on pierwszy sięgnie po kopyto, my musimy być, najzwyczajniej w świecie, ten lepszy i szybszy...

Jezus, Mario, Dziki Zachód...!

Doszedłszy w marzeniach do Dzikiego Zachodu, Bubel poczuł zagrożenie. Zarazem jednak przypomniało mu się, że tamta metoda dała rezultaty. Przywoici ludzie wzięli sprawę we własne ręce i bez żadnego miłosierdzia wystrzelali bandziorów. I nastąpiła zwyczajna pra-

worządność, spaskudzona dopiero znacznie później. Jeżeli teraz nasi przestępcy posługują się podobnymi metodami, proszę bardzo, możemy im sprostać.

Jedynym pozytywnym rezultatem tych wszystkich przemyśleń stała się umiejętność strzelania. Bubel, jako snajper, osiągnął szczyty, mógł zestrzelić muchę z żyrandola, nie tykając żyrandola. Z tej umiejętności na razie nic mu nie przychodziło.

I sam nie wiedział, że tu właśnie, za Radzyminem, zaczyna się jego kariera...

*

Przede mną, na szosie, palił się samochód.

Nie całkiem na szosie, trochę z boku, na drzewie, co nie przeszkadzało, że hamować zaczęłam od razu po wyjściu z zakrętu. Zanim się zatrzymałam tuż za nim, zdążyłam pomyśleć, że primo, mam gaśnicę, a secundo, jeśli nie wybuchł do tej pory, nie wybuchnie chyba i teraz.

Majaczyło mi się, że tę gaśnicę mam w bagażniku. Zajrzałam, rzeczywiście, czerwienią rzucała się w oczy, instrukcji obsługi obok nie było, a nawet gdyby była, nie miałam czasu jej szukać. Coś tam jednakże pamiętałam o jakiejś zawleczce. Szarpnęłam, przycisnęłam wajchę, zadziało.

Dość nieudolnie sikając pianą na ogień, zastanawiałam się, czy taka rzecz da się ponownie napełnić, czy też ona jest jednorazowa. Wszystko jedno, bez względu na skutek, nie żałowałam produktu. Ogień zgasł. Pod pianą ujrzałam coś, co sprawiło, że odsunęłam się na taktowną odległość.

I co niby miałam zrobić teraz? Odjechać? Szukać glin? We Francji, w Danii, w Niemczech natykałam się na słupki z telefonami na każdym kroku, ale tu był mój własny kraj, telefonom jakoś przeciwny. Znajdowałam się na zwyczajnej szosie zdumiewająco pustej, no dobrze, pociągnę sto czterdzieści, mój samochód potrafi, przelecę tą szybkością przez wszystkie wsie i miasteczka, gliny mnie, oczywiście, złośliwie nawet nie zauważą. Ale może znajdę gdzieś jakiś komisariat...?

Komisariat znalazłam wręcz błyskawicznie. Kiedy razem z glinami wróciłam na miejsce katastrofy, był tam już tłok, który rozładował się w imponującym tempie. Każdy zwalniał, stwierdzał, że nic nie pomoże, i pryskał z miejsca, za skarby świata nie chcąc robić za świadka. Jako świadek, zostałam im sama, i też do niczego.

– Wyprzedził panią gdzieś po drodze? – spytał sierżant, a możliwe, że starszy sierżant.

– Nie – odparłam i ugryzłam się w język. Nic mnie nie wyprzedzało, przeciwnie, to ja wyprzedzałam wszystkich, ale do ulubionej szybkości nie zamierzałam się przyznawać. Jeszcze mi tylko mandatu brakowało!

– Znaczą, jechał przed panią. Skoro dogoniła go pani, jak już się palił, nie mogła pani widzieć wypadku. Szkoda. No nic, dojdziemy.

Sama byłam ciekawa, jak na tej prostej i suchej szosie mógł przelecieć przez rów i trzasnąć w drzewo. Żeby zakręć, to jeszcze, ale łagodny zakręć został z tyłu. No, rów był płytki... Coś mu się stało? Gdyby stracił przytomność, noga by mu zwiędła na pedale, szybkość by spadła. Może coś z samochodem? Przednie koło, układ kierowniczy...?

– Co to w ogóle jest, bo nie mogę rozpoznać? – spytałam.

– Peugeot. Co tam? Coś macie?

Nie wszystko spłonęło, numer rejestracyjny dało się odczytać, policja toczyła żywą konwersację na odległość. Usłyszałam, co mówią.

– Wierziński. Waldemar. Wiceminister handlu zagranicznego...

O, ho, ho...!

Spisali mnie na wszelki wypadek i mogłam sobie odjechać. Nie odjechałam od razu, z pustej ciekawości chciałam poznać szczegóły techniczne kraksy. Niejaki kapral Robert Górski zlitował się, podał mi numer telefonu, pod jakim mogłam później uzyskać informacje. Schowałam go starannie.

Kiedy w parę godzin później wracałam tą samą trasą, po katastrofie prawie nie było już śladu. Drzewo zbytnio nie ucierpiało, a jakieś drobne szczątki znikły w trawiastym rowie.

Nie omieszkałam dzwonić dość uporczywie, co wreszcie dało rezultat. Kapral Robert Górski osobiście zaspokoił moją ciekawość już po dwóch dniach.

– Koło – powiedział. – Prawe przednie. Promile miał, pewno jechał slalomem i rozwalił oponę na takim złamanym słupku, odległość się zgadza. Rzuciło go, przeniosło, trafił w to drzewo, zapalił się i powinien był wybuchnąć.

– Mało obowiązkowy – mruknęłam pod nosem.

– Tak zostało ustalone oficjalnie – uzupełnił kapral sucho.

To mnie od razu zainteresowało bardziej, a już byłam gotowa podziękować i odłożyć słuchawkę.

– No...? – powiedziałam chciwie i zachęcająco.
– Czy ja co mówię? Ustalone i żegnaj, kotku.
– Pan do mnie z tym kotkiem?
– A nie, ja ogólnie. Bardzo przepraszam.
– Nie szkodzi. A od kogo ja bym się mogła dowiedzieć, co zostało ustalone nieoficjalnie?

– Od nikogo. W ostateczności ode mnie. Nie wiem, czy pani wie, ale ja pani dałem mój numer prywatny. I dzwoni pani do mnie, do domu.

Ucieszyłam się. Jakoś tak dziwnie ten kapral ze mną rozmawiał, że nabrałam wielkich nadziei. Być może, skłonny był wyjawić tajemnicę służbową.

– A jak ja bym tak, na przykład, złożyła panu wizytę? – podsunęłam jeszcze bardziej zachęcająco.

– Teraz zaraz?

– Dlaczego nie? Sądząc z numeru telefonu, mieszka pan na Mokotowie?

– Zgadza się. Na Sieleckiej.

– Mogę być u pana za pięć minut.

– No dobrze. Tylko krótko. To znaczy, tego... Ja nie jestem nieuprzejmy, ale od rana mam służbę.

Zadzwoeniłam do drzwi równiutko po sześciu minutach.

Mieszkanie było prawie dokładnie takie, z jakiego przed laty zrezygnowałam, uznawszy, że się tam z dwojgiem dzieci i mężem nie zmieszczę, z tym, że tamto było dwupokojowe, a to miało o pół pokoju mniej. Półtora pokoju z kuchnią. O ile w ogóle te komórki dla królików zasługiwały na nazwę pokoi...

Zostałam przyjęta elegancko. Elektryczny czajnik szumiał, a filiżanki do kawy były przygotowane. Kawa również.

– I to ma być krótko – wytknęłam z naganą.

– Małe te filizanki – usprawiedliwił się. – Pół litra potrwałoby dłużej.

– I musiałby pan dołożyć jakie ogórki albo co. No dobrze, cukru nie chcę. I co?

– No więc, to jest tajemnica służbowa... – zaczął po krótkim wahaniu, posepnie i z determinacją.

Coś podobnego... Zgadłam!

– ...więc niech pani nie tego. Ale mnie już i tak zdegradowali, więc wszystko mi jedno, a pani mi wygląda na sprzymierzeńca. Kraksa upozorowana, w dużym pośpiechu, podpalone od zewnątrz, dlatego nie wybuchło. Alkohol we krwi nieboszyk miał, owszem, ale w żołądku wcale, z czego wynika, że ktoś mu wstrzyknął, znana rzecz. Tak się wrabia niektórych. Słupek czysty jak łąza, ja wiem, co to są mikroślady, po różnych studiach jestem. Za wcześnie pani zgasiła, gdyby się pohajcowało dłużej, już nikt by do niczego nie doszedł, spalona ofiara to niezła rzecz. Ktoś go załatwił, ale dochodzenia nie będzie.

Odzyskałam mowę bardzo szybko.

– Czyli znów akcja usuwania niepożądanych dostojników. Już tak było, u progu zmiany ustroju, a nawet jeszcze trochę wcześniej. Jeśli tylko ktoś próbował całe to bagno ruszyć, od razu miał katastrofę albo zawał, a teraz co? Zaraz... handel zagraniczny? Co za świństwa znowu kupujemy?

– Mnie się wydaje, że wszelkie – odparł kapral z lekką naganą. – I sprzedajemy też głupio. Nie powie pani przecież, że pani nie wie!

– Ogólnie wiem, owszem, jak każdy. No, może trochę mniej i bez szczegółów, bo ja się polityką nie zajmuję. Handel zagraniczny...?

Gwałtownie zaczęłam szukać w pamięci, raczej dość beznadziejnie, bo wszystkie nasze kretyństwa finansowe i gospodarcze przyprawiały mnie o mdłości, usiłowałam zatem o nich nie czytać i nie słuchać. W jednej tylko dziedzinie miałam całkiem niezłe rozeznanie.

– Gdyby chodziło o konie... – zaczęłam i uświadomiłam sobie, że znam sprawę trochę zbyt jednostronnie. – Nie mam pojęcia, jak ona działa, ta cała administracja państwowa na wysokim szczeblu, co tam jest od czego zależne, a co ma pełnię swobody. Rolnictwo, hodowla, finanse, handel... I te wszystkie agencje... W handlu końmi panuje jedno złodziejstwo, oszustwo, marnotrawstwo i ogólny idiotyzm. Zbrodniczy proceder.

– I gdyby, na przykład, handel zagraniczny miał tu coś do gadania – podchwycił żywo kapral – i gdyby ktoś od nich chciał ukrócić...

– Gardziołko miałyby podejrzięte, na bank – zapewniłam go zimno.

Kapral roziskrzonym wzrokiem wpatrzył się w widok za oknem. Widok jak widok, nie prezentował sobą niczego szczególnego, zwykły budynek po drugiej stronie ulicy. Bez wątplenia jawiło mu się coś zupełnie innego i musiały to być zjawiska czarowne.

– No to sama pani widzi – rzekł wreszcie takim głosem, jakby z satysfakcją przygwoździł podejrzaną. – Takich rzeczy nie robi pierwszy lepszy chuligan albo inna mała pluskwa, to jest długofalowa akcja, obliczona na zastraszenie przeciwnika. Jak mnie degradowali, to pani myśli, że dlaczego? Bo się kretyńsko upierałem, żeby rozkopać tę całą sitwę, bo, jak idiota, nie miałem pojęcia, że to ma taki zasięg. Ale już zmądrzałem.

Te ostatnie słowa zabrzmiały z kolei raczej dość złowrogo i zainteresowały mnie jeszcze bardziej. Kapral zamierza zorganizować własną przeciwsitwę, czy jak...?

Zapytałam go o to wprost.

– Nie – zaprzeczył. – To nie ten poziom, ja nie mam odpowiednich znajomości. Chociaż szkoda... Przydałoby się trzasnąć paru hochsztaplerów wysokiego szczebla, ale taka zmiana zawodu jakoś mi nie pasuje. A metody łagodnej perswazji nie dadzą rezultatów.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. – To chyba zależy od stopnia łagodności, nie? Dewastacja samochodu, mały pożarek w willi, kradzież paru drobnostek... Jakieś tam niewielkie uszkodzenie cielesne, dokonane przez nieznaną sprawców...

Nagle wyobraziłam to sobie i zaczęłam się ożywiać.

– I niech pan popatrzy, dwie korzyści od razu. Jedna, dylemat prokuratora, złoczyńcy mu obiecują kęsım za postawienie przed sądem, poszkodowany dostojnik ruinę kariery za puszczenie ich wolno, niech się zastanowi, co woli. I druga, oszust się może zawaha, w nerwach czegoś zaniedba, ze strachu może nawet z czegoś zrezygnuje? A kto wie, czy i trzecia się nie znajdzie, korzyść mam na myśli, zmiana przepisów prawnych, kodeksu karnego...

Kapral słuchał wręcz chciwie.

– Jakieś takie rajskie wizje pani tu roztacza – rzekł z goryczą. – A ja chciałem tylko spróbować... No, miałem nadzieję, że pani zna różnych takich... Nie, żeby pani miała osobiście im robić coś złego...

– Gdybym tylko umiała, bardzo chętnie.

– ...ale przynajmniej pani ich wskaże. Podsunie pani jakąś informację czy coś w tym rodzaju. Wie pani, kto

tam siedzi na jakim świństwie, orientuje się pani, kto swołocz, a kto przyzwoity...

Westchnęłam ciężko.

– A otóż właśnie chała, niewłaściwą osobę pan wybrał. Ja naprawdę jestem apolityczna, pojęcia nie mam nawet, kto u nas aktualnie jest premierem. Mam wrażenie, że oni wszyscy się zmieniają, aż w oczach miga. Osobiście znam jednego dostojnika, ale on akurat do bani, bo uczciwy, poza tym mało przebojowy. Miękki charakter. Co do całej reszty, mogę służyć pomysłami i, niestety, niczym więcej. Jeszcze z piętnaście lat temu wzięłabym czynny udział w akcji, teraz już nie, szczególnie gdyby trzeba było latać po schodach...

– Można jeździć windą – podsunął mi kapral niepewnie.

– A jak windy nie ma...? Wszystko jedno, tu potrzebne jest młodsze pokolenie. Ale ogólnie biorąc, ma pan rację, jedyna metoda na tę rozszalałą przestępczość wszelkich rozmiarów i gatunków, to protest aktywny. Nie bierny. I nie słowny, nie powiem co sobie możemy słowami, bo się nie chcę wyrażać. Tylko takie oko za oko, ząb za ząb, na wysokie szczeble najlepsze mordobicie, oni tego nie lubią. Bo dla zwykłego bandziora mordobicie żadne dziwo, drobna nieprzyjemność i nic więcej.

– Zależy jakie mordobicie – mruknął kapral gniewnie.

– No owszem – zgodziłam się. – Rączka, nóżka, definitywnie uszkodzona i już sprawność fizyczna podupada. A na naszą służbę zdrowia można liczyć bez pudła, już oni mu tam tej rączki-nóżki zbyt doskonale nie naprawią.